

Tomasz Kozłowski
Wydział Studiów Edukacyjnych
Collegium Da Vinci, Poznań

Czyja bardzo wielka wina?

Po wpisaniu w Google frazy „It’s my fault” (to moja wina), wyszukiwarka zaoferowała mi ponad pół miliona adresów. Po wpisaniu „It’s not my fault” (to nie moja wina) wyników było trzy razy więcej. Że posłużę się popularnym w żargonie usieciowionych powiedzonkiem: Przypadek? Nie sądzę.

W wynikach wyszukiwania, tym razem pod zakładką „grafika”, natrafiłem natomiast na następujące obrazki/sentencje: To nie moja wina, że mnie nie lubisz, to z tobą jest coś nie tak. To nie moja wina, że nie nauczyłem się odpowiedzialności. To nie moja wina, że jesteś do d... To nie moja wina, że przytrafia się coś złego, to przeznaczenie. To nie moja wina, tylko Busha.

I wiele innych.

Kto pamięta film „Buntownik z wyboru” pamięta też zapewne jedną z ostatnich scen, gdy tytułowy bohater, geniusz i wrażliwiec skłócony z systemem (grany przez Matta Damona), ląduje w ramionach nauczyciela-mentora (Robin Williams) i płacze jak dziecko, podczas gdy tamten wytrwale powtarza słowa: „To nie twoja wina. To nie twoja wina” (scena sparodiowana zresztą przez prześmiewczy serial „Family Guy”). Trudne dzieciństwo, przemoc, jakiej doświadczył i inne traumy doprowadziły do przeistoczenia się z młodzieńca w młodocianego – obiera drogę buntu, balansuje na granicy prawa, marnuje talent, prowokuje. Ale to nie jego wina. Zresztą każdy potrafi przytoczyć przykłady produkcji (nie tylko zaoceanicznych, ale Amerykanie zdają się w tej kwestii celować), w których sakramentalne „to nie twoja wina” urasta do głównej puenty. Obwiniałeś się, ale to wszystko nie tak, źle to rozumiałeś. I każdy, kto myśli podobnie – myśli źle. Bo rzeczywistość jest zbyt złożona, by jej konsekwencje „zawłaszcząć” dla siebie, przyoblekać w rezultaty swoich decyzji. Bo przecież trzepot skrzydeł motyla na wyspach południowego Pacyfiku może doprowadzić do huraganu u wybrzeży Los Angeles. I co, czyja to wina? Któż z nas tego nie słyszał...

Inny przykład. „Dlaczego czarni nie potrafią pływać?” – tak brzmiał tytuł intrygującego artykułu, na jaki natrafiłem na stronach portalu BBC. Nie był on nowy, pochodził jeszcze z 2010 roku i rozpoczynał się od tragicznej relacji ze zdarzenia, w którym utonęło sześcioro czarnych nastolatków próbujących ratować innego tonącego. Artykuł ten podlinkował inny internauta, przy okazji dyskusji, jaka rozgorzała na jednym z internetowych forów pod innym artykułem dotyczącym utonięcia. Któryś z dyskutujących – przytomnie zresztą – zauważył, że wszystkie przedstawione interwencje ratownika dotyczyły topiących się czarnych. No i się zaczęło: jak na dłoni widać, że czarnym w wodzie nie idzie (nie mówiąc już o totalnej absencji czarnych pływaków w zawodach sportowych). Forum podzieliło się: jedni wyzywali innych od rasistów, inni przywoływali statystyki wakacyjnych przybasenowych zgonów i artykuły podobne do tych, co opublikowały na stronach BBC. Fakty zdawały się potwierdzać: czarni faktycznie gorzej pływają.

Ajaj, niefajnie to brzmi... Tu rasa, tu brak umiejętności, a tu z kolei fakty... Jak z tego wybrnąć i nie być posądzonym o rasizm? I wreszcie pytanie, które wielu kołatało się w głowie: czyja to wina? Czarnych? Nawet BBC dało wyraz niewygody tworząc w odpowiedzi co najmniej kilka teorii. Rzeczywistość jest zbyt rozparcelowana, by można

było puchnące domysły odjąć jednym sprawnym cięciem. Trzeźwo zwrócono uwagę, że brak umiejętności pływania na ogół jest przekazywany z pokolenia na pokolenie. Tonący czarni niemal zawsze mają nieumiejących pływać rodziców. Zwracano uwagę na możliwe braki w edukacji, brak pieniędzy, by słać dzieci na kursy pływania, wreszcie niewytłumaczalny strach (nierzadko, okazuje się, tłumaczeniem jest: nie wysyłam dzieci na kurs pływania, bo panicznie boję się, że utonie!), i tak dalej... Z perspektywy tego tekstu merytoryczna poprawność którejś z argumentacji nie jest istotna, sama ich mnogość jest jednak interesującym świadectwem naszych czasów: poszukiwaniem pierwszej przyczyny bez jednoczesnego wskazywania winnego. Czyżby „winny” w płynnych czasach okazał się pojęciem zbyt niepłynnym, zbyt twardym i niepodatnym na erozję? Interesujące, jeśli zwarzyć na fakt, że Zachód korzeniami siedzi w spuściźnie chrześcijańskiej, w doktrynie nieustającej winy, od narodzin aż po sam koniec.

W obszarze popkultury spychanie winy na okoliczności nie jest niczym nadzwyczajnym. Niezwykłe często, w szczególności w patetycznych produkcjach hollywoodzkich, natrafić można na argumentację w rodzaju: „Nie zrobiłeś/zrobiłaś nic złego. Za to zrobiłeś/zrobiłaś wszystko co było w twojej mocy”, czy rzecz dzieje się w sercu giełdy, na Marsie, w głębinach oceanu czy w obliczu apokalipsy. Można z pewnością długo snuć domysły, czego jest to rezultatem, czy jest to pokłosie szczególnej kultury spod znaku „keep smiling”, czy może jest to rezultat długotrwałej tradycji behawiorystycznej w amerykańskiej psychologii, która wszystkie działania organizmu tłumaczyła wpływami środowiskowymi, czy może wreszcie długo hodowanego światopoglądu, że źle jest oceniać człowieka przez pryzmat tego, czego nie może zmienić (pytanie jednak, gdzie kończą się granice tego, na co mamy, a na co nie mamy wpływu?).

Jeszcze w XIX w. pojęcie sprawczości było zupełnie inne niż dziś. Epoka Wiktoriańska przywiązywała do tego znaczną wagę: nasze zamiary (i niczyje inne) zdradzał niemal każdy drobiazg (ubiór, gest, słowo), stąd minimalizm ubioru, dbanie o formę, powściągliwość, etykietę. Funkcjonowało również poszanowanie dla etyki protestanckiej, która duży akcent stawiała na przedsiębiorczość, aktywne działanie, zaangażowanie społeczne, inicjatywę oddolną. Chrześcijański światopogląd czynił nas winnymi od chwili poczęcia, całe życie było w gruncie rzeczy dziękczynnym dziełem za mękę Jezusa Chrystusa i na odkupienie win pierwszych rodziców. Sens całemu życiu nadawało uznanie swojej winy: *mea culpa*.

Ale te czasy należą już do przeszłości. Rzeczywistość od tamtych lat zdążyła bardzo się skomplikować. Życie przyśpieszyło, informacji przybywa w tempie wykładniczym, a społeczeństwo w jakim żyjemy socjologowie określili mianem społeczeństwa ryzyka: przyszłość jest niepewna, płynna, a więc i do pewnego stopnia groźna. Nie na wszystko mamy wpływ, jeśli mamy, to na mniejszość, niż na większość. Jest to, rzecz można, obiektywna okoliczność, z którą radzić musimy sobie wszyscy. Skoro zatem godzimy się na to, że żyjemy w wyjątkowo wymagających czasach, które nasze ciała eksploatują do późnej starości i które nasze umysły wystawiają na codzienną próbę, być może jest zupełnie naturalne, że powodzenie zdobywa „ideologia”, wedle której przyczyny zachowań, decyzji, sądów i innych skutków, leżą nie w nas, a w rzeczywistości, która jest po prostu za trudna, by ją w pełni rozumieć. Świadczy o tym choćby rosnąca popularność psychoterapii – praktyki na dobre już zdomowionej w Stanach, u nas zaś cieszącej się rosnącą popularnością.

W większości nurtów (mnożących się swoją drogą jak przysłowiowe króliki) wina za życiowe niepowodzenia i problemy najczęściej spychana jest albo na okoliczności

zewnątrzne, albo na uwarunkowania wewnętrzne, które jednak są poza kontrolą jednostki (nie wspominając już o dopatrywaniu się win w zjawiskach nadnaturalnych, bo w końcu i wróżka widnieje na liście oficjalnych zawodów): subemocje, podświadomość, nieświadomy opór, nieuświadomione lęki i obawy, głębokie traumy, zepchnięte poza świadomą pamięć – innymi słowy, nic w rzeczywistym zasięgu działań indywiduum. Dopiero wykwalifikowany terapeuta potrafi te nieprzebyte meandry opisać, nazwać i zinterpretować. Nikt nie jest sam z siebie winny.

Przygnębiająco trafnej analizy tego trendu dokonuje na łamach „Zakazanej psychologii” Tomasz Witkowski. W tej głośnej swego czasu książce autor, w ostatnich częściach, pomijając już niejako teoretyczne i często niestety nieweryfikowalne tło niektórych założeń terapii (nie mówiąc już o druzgocących statystykach „skuteczności”), stawia ciekawą i prowokacyjną tezę: psychoterapeuta nie jest nikim więcej aniżeli... przyjacielem za pieniądze. Tyle tylko, że niekoniecznie tak skutecznym, jak przyjaciel darmowy. Ten nie za pieniądze nie musi mieć bowiem skrupułów, by niektóre rzeczy „wygarnąć”, nazwać sprawy po imieniu, czy „jak się rzeczy mają” itd. Wśród mężczyzn praktyka ta zwie się „rozmową jak facet z facetem”. Psychoterapeuta jak facet z facetem już nie rozmawia, nie po to się tam chodzi. Konfrontacja z winą nie jest niczym miłym, wywołuje poznawczy dysonans między naszym zdaniem na swój temat a faktami, które te opinie podważają. Psychoterapeuta, u którego pacjent czuje się niekoniecznie fajnie, ryzykuje rychłe zakończenie przygody z wolnym rynkiem. Witkowski o podobnych praktykach mówi „terapię mówioną”, czyli takie, gdzie najważniejsza jest rozmowa i poszukiwanie pierwszych przyczyn (nie winowajców), w miejsce faktycznego działania (jak ma to miejsce w terapiach behawioralnych, *notabene* najskuteczniejszych formach pomocy psychologicznej). Formy behawioralne zakładają przepracowanie niekorzystnych nawyków, fobii i innych zaburzeń częściowo poprzez konfrontację, a ta z reguły nie jest niczym szczególnie przyjemnym. Ktoś kto boi się psów, jest stopniowo z nimi zaznajamiany, aż do opanowania lęku. Przypomina to Okhamowską brzytwę: nie mnożmy przyczyn zaburzeń bez potrzeby, zwalczmy objawy, a przyczyny ustąpią. I faktycznie często ustępują.

Ale problem ten nie ujawnia się li tylko w zacisznych gabinetach i na leżankach. To kwestia bardziej ogólna, obecna w obszarze polityki, popkultury, ekonomii. Osobliwy przykład psychologii winy przyniósł choćby bilans ostatnich wyborów, kiedy to niedługo po ogłoszeniu klęski Bronisława Komorowskiego pierwsi kamraci zaczęli się wykruszać: przecież to nie był kandydat Platformy Obywatelskiej, na zasadzie „co złego to nie my”. Przykłady podobnego myślenia są jednak częstsze, przytrafiają się w zasadzie każdego dnia.

Na zajęciach opowiadając studentom o problemach związanych z funkcjonowaniem dużych instytucji społecznych, siłą rzeczy poruszyć trzeba temat ich wewnętrznego zróżnicowania. Choć duża instytucja ma jakiś bardzo konkretny i prosty do zwerbalizowania cel (np. sprzedać jak najwięcej telefonów komórkowych), realizacja tego prostego celu niemal zawsze jest bardzo złożona i zależna od ogromnej liczby podstruktur. Nad każdą z nich piętrzą się określone zadania, nad wszystkimi wisi *dead-line*. Wszystkie pracują w systemie naczyń połączonych (lub najsłabszego ogniwa). Praca każdej komórki wpływa na pozostałe. I – jak to ma miejsce w czasach wysokich prędkości – często nie udaje się wszystkich zadań wykonać tak samo dobrze. Rozpoczynają się raporty, podsumowania i... poszukiwanie winnych. Okazuje się, że to niezmiernie trudne zadanie, które najczęściej owocuje solenną obietnicą wszystkich przy świadkach uszczegółowienia procedur i przestrzegania ich następnym razem. Obyło się bez

większych ofiar: w ten sposób reformowalność większych podmiotów jest pozorna a ich realna zmiana bardzo trudna do przeprowadzenia.

Trudno jednak się temu dziwić. W istocie praca w dzisiejszych warunkach (stres, pośpiech, na ogół znaczna złożoność powierzanych zadań – w końcu zmierzamy w stronę merytokracji) powodują, że odpowiedzialność za dany proces nie jest tym, czego szczególnie pożądamy. Nie nadążamy, a ryzyko poniesienia porażki jest wyższe, nasze statystyki mogą być gorsze niż zakładaliśmy. Dopuszczanie za każdym razem naszej winy może w skuteczny sposób obniżyć naszą samoocenę i satysfakcję z życia. Bronimy się i spychamy winę na innych. Chyba żadna większa instytucja nie jest wolna od takich praktyk. Z drugiej strony, nic tak nie usprawnia działania jak wzięcie za coś odpowiedzialności. Wówczas punkt na „agendzie” spotkania zostaje zaliczony i można przejść do następnego. Zamiast dociekania pierwszych przyczyn niczym przy wątpliwej jakości terapii, przechodzimy do działania.

Przyśpieszenie informacyjne i rewolucja technologiczna zmieniła oblicze naszej kultury doprowadzając tempo życia do wartości trudnych do wytrzymania. Zaburza się równowaga między czasem wolnym a pracą, żyjemy w stresie, a w blokach reklamowych coraz częściej zachęca się nas do zakupu środków uspokajających, co przywodzić może na myśl ponure wizje rodem z Orwella. Jeśli zatem przyjąć za fakt obiektywny, że większość społeczeństwa stanowią ludzie, którzy zgodnie twierdzą, że praca jest ciężka i nierzadko ponad siły, że trudno jest z wszystkim radzić sobie w sposób optymalny, wydaje się dość sensowne, że ideą, która dobrze wpasuje się w takie właśnie „widełki” jest przekonanie o tym, że „nie ja ponoszę winę za taki a nie inny obrót spraw”.

W interesie jednostki w sytuacji bombardowania bodźcami jest przetrwać. Przetrwać do szesnastej, przetrwać do weekendu, przetrwać do przerwy świątecznej, do urlopu, wakacji etc. (internetowe kopalnie memów są przepełnione humorystycznymi komentarzami na ten właśnie temat). A najlepiej przetrwać nie będąc niepokojonym przez nikogo, to jednak możliwe jest tylko wówczas, jeśli jest się z dala od epicentrow: kryzysów, błędów, nieporozumień, plajt, fiask i czegokolwiek innego, co wydarza się względnie często w Beckowskim społeczeństwie ryzyka. Bo „co złego to nie my!”

Sytuacje takie są jednak ogromnym wyzwaniem dla społecznej spójności. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, wcale nie tak dobrze jest, gdy wszystkim się „upiecze”. Wyobraźmy sobie prostą sytuację: w firmie nie dopina się budżet. Konieczne są cięcia. Wiemy, że pewne procesy zostały źle zaplanowane, wiemy nawet w jakich działach. Tyle tylko, że każdy z działów ma stosowne uzasadnienie: pewnych szczegółów nie przewidziano. Zabrakło wystarczającej liczby danych, danych tych nie dostarczono na czas. Czy jest to zatem ich wina? Czy ktoś coś zgłaszał? Może i coś zgłaszał, ale w zalewie innych spraw nie było czasu, by poświęcić wystarczającą uwagę. Tym razem nie zostaną wyciągnięte konsekwencje. Teoretycznie wszystkim się upiekło, wszak wszyscy zamieszani są w złożone procesy. Sytuacja taka nie może jednak trwać zbyt długo. Domysły i prywatne śledztwa w końcu doprowadzą do bolesnej konfrontacji i rozsądzą maszynę od środka. A teraz założmy, że ktoś wychodzi przed szereg i postanawia choćby część winy wziąć na siebie. Z socjologicznego punktu widzenia sytuacja zostaje zupełnie inaczej zdefiniowana: grupa otrzymuje jasny sygnał, gdzie leży błąd. Winowajca zostaje niemal z automatu zobligowany do tego, by wypracować skuteczne rozwiązania. Procedura idzie dalej, jałowe (często) spory o to, czyja racja jest „bardziej moja niż twoja” znikają. Proces, choć z błędami po drodze, może posuwać się dalej. Z perspektywy osoby, która wzięła na siebie winę sytuacja wcale nie musi być beznadziejna, nie musi oznaczać przegranej: po pierwsze mam pewność, że muszę usprawnić swoją

pracę, jeśli zrobię to rzetelnie – tym lepiej dla mnie i dla wszystkich. Po drugie, ponieważ o tym powiedziałem, mam pewność, że otrzymam informację zwrotną, co dla czerpania satysfakcji z pracy (przekonują o tym badania psychologiczne) jest kluczowe. Po trzecie, ponieważ więcej uwagi poświęcę moim obowiązkom, lepiej będę mógł zdiagnozować przyczyny ewentualnych niepowodzeń, nie tylko po mojej stronie. Jeśli mamy szczęście w postaci szefa rozumiejącego podobne subtelności, jak również zwykłe, ludzkie prawo do popełniania błędów, zyska na tym cała struktura organizacji. Tyle tylko, że taki styl przywództwa nie jest niestety standardem. Nacisk na szybki zysk, brak nawyku planowania długoterminowego, brak tolerancji dla niepowodzeń i mordercza walka na wolnym hiperkapitalistycznym rynku powodują, że branie na siebie winy nierzadko bywa praktyką samobójczą – dlatego jest mało popularne. Cóż, niestety może to oznaczać, że przeewoluowaliśmy – obawiam się – do stadium społeczeństwa jastrzębi, każdy kto ujawni się jako „gołąb”, może zostać szybko zgładzony. Odwrócenie tego procesu wymaga oczywiście odpowiedniej polityki i szeroko zakrojonych kampanii zmierzających do ponownego uczłowieczania współczesnego środowiska pracy, jako źródła wartości kolektywnych, a nie indywidualistycznych, ale są to niestety postulaty wymagające ogólnej zmiany myślenia, co w najbliższych latach jest rzecz jasna mało realne i brzmi jak tani populizm.

Memetycy, badacze, którzy szukają daleko idących analogii między kulturą a żywym organizmem twierdzą, że idee, na wzór genów, składają się z memów (nie chodzi przy tym o internetowe obrazki, która jedynie spopularyzowała źródłowy termin), powielających się w umysłach innych ludzi pakietów informacji, mnożących się jak zwyczajne wirusy. Ich domysły w dużej mierze pozostają nieweryfikowalne, choć przyznać trzeba, że niektóre idee z obszaru memetyki są wcale inspirujące. Wszechświat kultury przypomina tym sposobem dżunglę, w której wygryją najsilniejsze, czyli najbardziej „zaraźliwe” idee, a te plenią się w umysłach nosicieli prawem epidemii. Ale kultura wybiega dużo dalej – zdaniem memetyków – poza swoje idealnie platońskie granice. Memy wpływają na geny i *vice versa*. Te dwa obszary różnych replikatorów (samopowielających się elementów) potrafią się przenikać i warunkować. Sukces jednych może z powodzeniem wpływać na sukces drugich. Z tych powodów niekiedy idee współpracują z ciałami w ścisłej symbiozie. Przykładowo, Susan Blackmore, popularyzatorka idei memetyki dowodzi (zresztą całkiem sprawnie), że altruizm jest ideą memetyczną, która przyczynia się zarówno do sukcesu reprodukcyjnego genów, jak i memów. Idealna, samowarunkująca się współzależność wypracowana na styku myśli i ciała przez tysiące (a nawet dziesiątki tysięcy) lat: ciała pomagają innym ciałom, a by taki porządek trwał jak najdłużej, komunikują sobie również altruistyczne idee.

Gdyby z tej perspektywy spojrzeć na ideę *mea culpa*, można by dojść do wniosku, że jest to proces dość podobny. Siła oddziaływania chrześcijaństwa brać mogła się nie tylko z faktu pozostawiania oficjalną religią panującą, szerzoną dzięki misjom, ale i nierzadko ogniem i mieczem. Jej oddziaływanie mogło jednocześnie być doskonałą odpowiedzią na swoisty klimat intelektualny średniowiecza, renesansu oraz roli/obrazu jednostki, jaki epoki te tworzyły. Zachód jest w znacznej mierze kulturą indywidualizmu, która wyjątkowo mocno ceniła sobie przez długie stulecia sprawczość pojedynczego człowieka, jego odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Być może w historii Europy idea *mea culpa* była najsilniejszą właśnie z tego względu, że najlepiej odpowiadała klimatowi epoki. Być może to dzięki głębokiemu przekonaniu o sensie brania odpowiedzialności za własne czyny dokonał się tak znaczny skok cywilizacyjny w obszarze nauki i techniki? Być może nie opłacało się zwać winy na innych? Czy bez przeświadczenia o tym, że jest się

kwalemem własnego losu możliwe byłyby Oświecenie, Rewolucja Francuska, powstanie Stanów Zjednoczonych, narodziny nowoczesnej demokracji? Gwałtowne przyspieszenie, jakiego świat zachodni doświadczył w znacznej mierze wynikać może właśnie również z etosu brania sprawy w swoje ręce.

Ale czasy te minęły, wiele uległo znacznej przemianie. Środowisko, w którym pączkują kolejne memy idei, jest już diametralnie inne. Dziś już branie na siebie winy, czy tym bardziej czyichś win, nie jest *cool*. Kojarzone jest raczej z przegraną, a przegrana jest najgorszą rzeczą, jaka może przytrafić się jednostce. Bycie „przegrywem” to spadek na dół społecznej drabiny, proces zupełnie pozbawiony elementu nauki na przyszłość, jako że w płynnej nowoczesności przyszłość nie ma znaczenia, liczy się tylko doświadczana teraźniejszość i jej chwilowy bilans. Chodzi o to by być „wygrywem”, choć na ogół wygrywem również jest się przez chwilę.

W tym kontekście warto przypomnieć, że poczucie winy to najbardziej zaawansowany ze sposobów kontroli społecznej (po lęku i wstydzie). Lęk to prosta reakcja emocjonalna (w ten sposób dyscyplinują się nawet zwierzęta). Wstyd jest nieco bardziej zaawansowany (zarezerwowany dla dzieci), choć nie łączy się z negatywnymi emocjami aż do momentu ujawnienia niecnego zachowania (można zatem psocić dopóty nikt tego nie ujawni). Poczucie winy, to natomiast wstyd „do potęgi”, wstyd przed samym sobą, jednocześnie świadectwo zinternalizowanej normy, a więc jak mawiają teoretycy „społeczeństwo we mnie”. Nie jest chyba jednak wielkim odkryciem stwierdzenie faktu, że jednostka, która czuje się z jakichś powodów winna, w erze ponowoczesnej jest... mało przydatna. Utyskuje, marudzi, izoluje się, karze się (np. ograniczając nabywanie) itd. Co gorsza, innych również może wpędzić w poczucie winy. Bardziej opłacalna postawa to przekonanie o własnej nieomyślności oraz zasługiwaniu na to, co dobre, sprzyjająca samonagradzaniu. Poczucie winy zostało zepchnięte do defensywy. Nie powinno zatem dziwić, że jako społeczeństwo kompulsywnych bądź co bądź nabywców, powoli oduczani jesteśmy praktyki brania na siebie za coś winy i w efekcie brania za coś pełnej odpowiedzialności, również za złe życiowe wybory i niepowodzenia. Nie tak nas uczono. Nie jest to – mam nadzieję – metodyczne działanie jakichś ponadnarodowych koncernów, ale raczej rezultat szeregu pomniejszych praktyk, miriad czyhających zewsząd pokus. Czy w obliczu tak wielkiej ilości bodźców, dziesiątek miliardów dolarów topionych w kampanie reklamowe ktoś jeszcze jest na tyle przytomny, by wmawiać nam, że cokolwiek się dzieje „to nasza wina”? Nie, popkultura pod rękę z rynkiem, niczym Bóg Ojciec i Syn Boży, chyba na dobre nasze winy nam już poodpuszczała.

Tomasz Kozłowski jest socjologiem, Dziekanem Wydziału Studiów Edukacyjnych na Collegium Da Vinci w Poznaniu. Zajmuje się socjologią kultury i konsumpcji oraz antropologią rozrywki, promuje filozofię Slow movement.